

Yūko  
Tsushima

# Uśmiechnięty wilk

przełożyła Aleksandra Szczehła



Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy

## 1. JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Kiedyś, dawno temu, było sobie dziecko i jego ojciec. Na skrawku ziemi otoczonej szarymi, prostokątnymi kamieniami zbierali suche liście, a kiedy się w nie zagrzebywali, szło ku nim od ziemi ciepło zmieszane z zapachem pleśni i błota. Ten błotnisty zapach był zapachem dziecka i ojca.

Na przykład takie wspomnienie:

Dziecko miało cztery lata. Nie znało jeszcze znaków. Nie interesował go sens ideogramów wyrytych na kamiennych kolumnach otoczonych kamiennymi ściankami, bawiło się tylko wpychaniem w ich wyżłobienia ziemi i suchych liści. Takich kamiennych słupów było wśród drzew nieskończenie wiele.

Małe i duże drzewa, dużo drzew. Ich nieustanny szum. Przez szelest liści przebijały głosy najróżniejszych ptaków. Ptaków nocnych. I porannych. Wczesnym rankiem z wielkim hałasem odlatywały gdzieś wrony, a zaraz potem, jakby na umówiony znak, zaczynały się nawoływać mniejsze ptaki – sfruwały z gałęzi na kamienie, potem na ziemię, gdzie czasem znajdowały się w zasięgu ręki dziecka. Ale czteroletni maluch nie potrafił żadnego złapać. Pewnego razu ojciec gołymi rękami schwytał dość dużego ptaka – może to był gołąb? Malca, bardziej

niż sama zdobycz, zachwyił widok wielkich dłoni ojca. Tymi dłońmi ojciec opiekował potem ptaka nad ogniskiem i część podał dziecku. Mięsa, w dodatku samych twardej mięśni, nie było na nim zbyt wiele. Dziecko żuło je przez długi czas, a później ssało kostki.

Dobrze znało uczucie głodu. Znalazłszy cokolwiek, co wyglądało na jadalne, natychmiast pakowało to sobie do ust. Liście i ziemia, pokrywający kamienie mech czy nawet zwinięte pod suchymi liśćmi robaki nie należały do wyjątków. Być może przez to dziecko wciąż miało biegunkę. Podobnie jak jego ojciec. Gdy ojciec wypróżniał się, spuszczał spodnie i rozlegał się dźwięk przypominający trąbienie, a pod jego pośladkami pojawiał się jasny obłok pary.

Albo takie:

Proste ścieżki ciągnęły się bez końca, w którąkolwiek by pójść stronę. Niektóre były wąskie, inne szerokie. Miejscami lśniły mocno w porannym słońcu. Dziecko pozbierało trochę tego świecącego i położyło sobie na dłoni. Blask po chwili zamienił się w wodę i malec pośpiesznie wlał ją sobie do ust. Na końcu języka poczuł ból, jakby ugryzienie. Stał na tym, co wciąż lśniło na ścieżce. Jego ciało zareagowało silniej niż wtedy, kiedy chodził po suchych liściach. Poczuł radość. Śmiejąc się w głos, deptał leżące wokół kryształki szronu. To była najzimniejsza pora roku. Ale dziecko nie zwracało uwagi ani na chłód nocy, ani na głębię mroku. Może z powodu senności spowijającej go wciąż niczym mgłą. A może dlatego, że miało kocyk do otulania się? Dotyk koca na policzku był bolesny. Dziecko przez sen ustawicznie sprawdzało

w nim palcami dziury, ich położenie, wielkość i luźne nitki na brzegu. Koc był też pełen zapachu ojca i dziecka.

Nawet takie rzeczy pamiętam. Ale dlaczego nie mogę zapomnieć szczegółów z tak wczesnego dzieciństwa? Sam się dziwię.

Zdarzało się też, że padał śnieg. Oczywiście padał i deszcz.

Pamiętam jego brzmienie. Szum drzew nie wiadomo kiedy zamieniał się w żywszy, bardziej donośny dźwięk, który, uderzając w kamienie i suche liście, zostawiał na ich powierzchni mokre ślady. W pewnym momencie odgłos wody stawał się zwartą masą, która wciągała uszy i oczy dziecka. Prosta ścieżka zmieniała się w strumień i gdy malec szedł razem z ojcem, za plecami słyszeli chłupot rozpryskiwanej wody.

Śnieg był bezdźwięczny. Przynosił za to ból. Otulał różne rzeczy. Niskie kamienne słupy chowały się pod nim. I chodząc po śniegu, można się było o nie potknąć. Maluchowi zdarzało się czasem poranić tak do krwi. W takich momentach w zdumieniu przyglądał się to śniegowi, to własnej ranie.

Zachwycał go też kolor własnych sików, kiedy topił się pod nimi śnieg. Ich żywa żółć.

Inaczej niż w mieście, na cmentarzu śnieg leżał długo. Jego twardo zmrożona powierzchnia cięła posiekaną mrozem skórę rąk dziecka niczym odłamki szkła.

To wszystko pamiętał. Nie mógł sobie jednak przypomnieć widoku ośnieżonego cmentarza. Ani zdziwienia jego bielą. Może w śnieżne i deszczowe wieczory opuszczali cmentarz i zaszywali się na noc gdzieś w mieście?

Na przykład w przejściach podziemnych albo w publicznej toalecie? Albo pod czyjąś werandą?

W tamtym okresie ludzie śpiący w takich miejscach nie należeli do rzadkości. Wszędzie pomieszkiwali ci, co potracili lub porzucili własne domy. Dzieciak i jego ojciec też do nich należeli. Tyle że ojciec wołał spać na cmentarzu, a nie w mieście. Dziecku wydaje się, że tak właśnie było. Chociaż nie potrafiłoby wyjaśnić, z jakiego powodu. Nawet kiedy spali w przejściach podziemnych w mieście, rano zawsze się okazywało, że ktoś się nie obudził. Czterolatek zapamiętał obraz wynoszonych zwłok.

Dlaczego więc oni nie umarli, choć spali na cmentarzu? A może lepiej powiedzieć, że obaj w tamtym czasie byli jak żywe trupy? Kiedy się spało w mieście, zawsze były problemy z policjantami. Podobno ładowali ludzi na ciężarówki i gdzieś wywozili, a dorosłych mężczyzn wysyłali do kopalń na Hokkaido. Czy tego właśnie obawiał się ojciec? Dzieci rozdzielano z rodzicami i zamykano w ośrodkach. Tak czy inaczej, jakieś pół roku później ojciec się wykończył, a czterolatek trafił do sierocińca.

Ojciec był chudy. Prawie nie otwierał ust. Zawsze senny i zgarbiony, chodził, powłócząc nogami.

Dziecku pozostały tylko takie wspomnienia.

Ojciec nie mógł pracować fizycznie. Poza tym miał czteroletnie dziecko. Czy liczył na to, że ono już niedługo osiągnie odpowiedni wiek, żeby zacząć czyścić buty albo zbierać pety? Może miał nadzieję, że przetrwa, wynajmując się tymczasem do pracy przy kramach, czasem żebrząc, a czasem kradnąc?

A może na tamtym cmentarzu ojciec czekał jedynie na swoją i dziecka śmierć? Może jedyne czego pragnął,

to spokojnie odejść? Czyż cmentarz nie jest najlepszym miejscem po temu?

Czy dzieciak miał kiedyś dom gdzieś w Tokio i mamę? Ojciec posiadał papiery potwierdzające utratę domu podczas wojny. Później ktoś z domu dziecka to sprawdził i okazało się, że dokument był sfałszowany. Jednak nawet wtedy dla dziecka pozostał jakimś punktem odniesienia. Na jego podstawie odtworzyło swój dom i rodzinę z czasu własnych narodzin. Dom średniej wielkości, dość stary, ale przytulny. Z małym ogródkiem otoczonym drewnianym płotem. W tym ogródku stała balia, w której kąpał się jako maluch. Myjąca go mama o krągłej twarzy. Obok bawią się starszy brat i siostra. Na ganku ojciec przytula białego kotka, któremu czyści uszy. I pewnego dnia z nieba spadł ogień, spalił się płot, spalił się dom, spaliła się mama, starszy brat i siostra, i kot też się spalił – i wszystko zniknęło z powierzchni ziemi.

– Oczywiście wszystko to sobie uroiłem, ale ten obrazek zawsze mnie pociągał i przynosił pociechę. Dlatego też jest mi tak bliski...

Już nie jest dzieckiem. Ciągnie swą opowieść z przejęciem, a dwunastoletnia dziewczynka słucha, nie przerywając mu. Jego wspomnienia wślizgują się w nią i zaczynają żyć własnym życiem. Dziewczynka ma marynarskie ubranko, upiętą spinką grzywkę, a puszek na jej czole połyskuje złotem. Twarz o krągłych policzkach jest wciąż buzią dziecka. Obok niej leży skórzana, ciężka, szkolna torba. Dziewczynka od czasu do czasu opuszkami palców lewej dłoni dotyka metalowej sprzączki na torbie.